№7.

Konto P. K. O. № 63178.

№ 8 (25). Cena 55 groszy.

PRZEBOJEM

MIESIĘCZNIK UCZNIOWSKI POŚW. NAUCE i ROZRYWCE.

KUTNO NAD OCHNIĄ. Dnia 15 Grudnia 1925 roku.

ROK III.

DRUK J. CELKOWSKIEGO
ROK 1925.

Konto P. K. O. № 63178.

PRZEBOJEM

MIESIĘCZNIK UCZNIOWSKI POŚW. NAUCE i ROZRYWCE.

KUTNO NAD OCHNIĄ, Dnia 15 Grudnia 1925 roku.

ROK III | Cena 50 groszy z przesyłką 55 groszy | ZESZYT 8 (25).

†

W hołdzie mocarzom ducha.

Nad błękitnemi wodami Wisły odbyły się nieodgadnione w swej wiecznej tajemnicy misterja śmierci. Hetmani ducha polskiego, władcy sztuki polskiej, Stefan Żeromski i Władysław Reymont, żyć przestali.

Przez całe swe życie dążyli oni bez wytchnienia do jakiegoś celu dalekiego, z troską jasnowidzeń na twarzy, przejęci jakimś zakonem wielkim Piękna.

Było to tak, jak gdyby śpiesznie im było iść — snuć — współczuć — trud łożyć.

Było tak, jak gdyby dążyli przez te ścierniska życiowe na czyjś daleki ratunek, na ratunek narodu — niepomni trudu w obowiązku służebnym Piękna.

Dziś duże te zwolnione odeszły dalej — aż na to słońce zachodu, które tarczą złotą i krwawą kładzie się przed nami.

Została atoli po nich na tem ściernisku narodowem smuga jasna, świetlana, która zawarła w sobie wszystką pracę ich ducha, wszystkie ich sny i marzenia, i to ich bolesne rozmarzenie i tą gorączkę Ideału — dźwięk cudny słowa, echa niedoli ludzkiej, westchnienia zaoceanowe — tony fujarki pastuszej i gwary dalekie wioskowe — zadumy poety i zgiełk walki życiowej — ciszą wieczoru, uroki krainy polskiej — tęskność daleką i płacz odlotny

żórawi — wszystko, co duszę polską przejmuje i poi czarem rozłogu i nadzieją lepszego bytu... I smuga ta żyć i drgać będzie, dopóki mowy polskiej na ziemi.

Rozpłonie ona tęczą brylantową pod słońce wschodzące nowego życia i rozwinie się możnie pod niebem, by płonąć znakiem Przymierza.

Dziś jeszcze na grób ich rozpłakany idzie ta smuga świetlana, idzie pieśń ich smutna, bolesna, spracowana, siada na grobie żałosna i rozmyśla nad dolą tułaczą, splątaną.

Ale w świetle odrodzeń błyśnie urokami tęczy czarodziejskiej na chwałę niespożytą Narodu i słowa uroczystego, któremu obydwaj mistrzowie tak wiernie służyli.

Pokój ich duszom królewskim i cześć wiekopomna Narodu.

Wszystkim Prenumeratorom naszego pisma zasyłamy serdeczne życzenia

WESOŁYCH ŚWIĄT.

W NOC WIGILIJNĄ.

Idzie ku nam Bożego Narodzenia radość wzniosła i cicha. Sączy się w serca uczniowskie uczuciem wzruszająco jasnem i dziwnie tajemniczem. Tysiączne wspomnienia roją się w niecierpliwych głowach, tysiączne obrazy, mgłą świątecznego nastroju owiane, przed oczy stają. I jakieś podświadome uczucie, niby dla Boga cześć, niby wrosła w serca miłość tradycji, dusze chłopców przenika.

Tysiąc dziewięćset dwudziesty piąty raz wieść o cudzie Wcielenia Syna Bożego w ludzką postać przebiega kraje, miasta i wioski. A gdzie tylko zabrzmi głosami dzwonów, na „Pasterkę" zwołujących — wszędzie się dziwna radość rodzi i z śniegów powstawszy, w grudniowym słońcu po świecie się włóczy.

— Boże Narodzenie!

— Uboga stajenka Betleemska, Bogu za przytułek służąca. Wśród wielbiących rzeszy ludzi i zwierząt—Dzieciątko małe i święte, a ponad wszystkiem gwiazda ogromna, jasna...

— Uroczysty wieczór Wigilijny tętni życiem i rozbrzmiewa śmiechem dzieci, ze złocistej radujących się choinki. Jakie barwy rozliczne, jakich blasków tysiące!—Leśny aromat drzewka odurza, zachwyca. I świat wydaje się tak radosny i piękny, jak ono.

— Niema chyba człowieka, któryby takiego wieczora nie uczuł się o całe niebo lepszym i radośniejszym, niż zwykle.

— Noc gwiaździsta i mroźna baldachim ciemny roztacza nad światem, srebrnym od śniegów i księżyca blasku. Ciężka okiść na przydrożnych drzewach zawisła, iskrzy się w miesięcznej poświacie blasków miljonem. Noc Boga, gwiazd i radości pełna, tuli miłośnie światłami płonący kościół i tłumy na Pasterkę śpieszących ludzi. A dzwony biją i dźwięczące spiżem granie pod Niebieskie ślą stropy. Tysiącznem powtarzane echem płyną dzwonów głosy w dal śniegową i mroczną, w lasów tajemnicze głębie i w serca ludzkie, które, jakby same dzwonami się stały, biją... Biją tętnem, radosnem i dziękczynnem i jak ta noc Cudu-świętem.

— Chwała Panu na Wysokościach!..

Borowik. Kl. VI.

— — — — — — — — — — — — — — —

Światłość ogarnęła ziemię, niebiosa się otwarły i spłynęła cudowna pieśń pokoju.

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli".

Woli, co wykuwa czyn!

Czemże jest „dobra wola"? Czy nie gotowością do czynu wstającą zawsze mężnie, nawet ze zwalisk podruzgotanych nadziei?

A więc pokój tym, co niosą światło do chat, pokój tym, co czynią sprawiedliwość, pokój tym, co sieją zgodę i miłość. Pokój w poczuciu twórczości, w bohaterskim wysiłku, w spełnianiu obowiązku. Pokój tym, co miłują, wpatrzeni w Anioła pokoju, roztaczającego skrzydła nad stajenką Betleemską i przemawiającego w imię nowonarodzonego Dzieciątka.

Koledzy, siejmy pokój i zgodę. Przykładem własnym, odrodzeni w odrodzonej Polsce; bądźmy zawsze „światłem i jutrznią tej ziemi".

Zapada cichy, rosnący, niczem nieprzenikniony mrok... Niebawem nad Betleem wzejdzie gwiazda, a na ziemi niechaj będzie pokój ludziom dobrej woli!

E. Szymański Kl. IV.

LUBIEŃ.

I. PIERWSZA NOC.

Nim słońce skryło za lasy blask złoty
I nim zachodu spłonęło purpurą
Okryte ciemno fioletową chmurą,
— Nad brzegiem rzeczki stanęły namioty.
W ciągu dwóch godzin obóz był gotowy
I pełen raźnej, harcerskiej roboty.
— Stanęły dumne i białe namioty,
Gdzie spocząć miały do snu nasze głowy.
Właśnie już żaby koncert swój zaczęły
Wśród śpiewnej ciszy letniego wieczoru
I w takt cichego olszyn rozhoworu
Pierwsze akordy na swych lutniach wzięły.
A i od lasu lecące komary
Spłynęły pieśnią srebrną i brzęczącą,
Melodją jakąś cichą i kojącą,
Jak ciepłe, z bagien wstające opary.
Pozatem cisza. Nagle głos uderzy
W senność wieczoru. I w strzępy ją zrywa
Pieśń przepotężna, poważna i żywa,
Pieśń śpiewających modlitwę harcerzy.

. . . .

Przyjm wszystkie nasze dzienne sprawy, Boże!
Przyjm litościwie!... Oto, dzieci Twoje,
Idziemy w życia otwarte podwoje
I teraz łaski prosimy w pokorze...

. . . .

Wnet po modlitwie wszyscy spać się kładą,
Cisza zalega obóz i namioty
— Tylko księżyca niepewny blask złoty
Oświetla obóz mgłą spowity bladą.
Srebrno-złocista tarcza księżycowa,
Wielka, okrągła i upiornie blada,
Zda się, że z ziemią pocichutku gada
I szepcze jakieś tajemnicze słowa.
Hej! Coś strasznego lasem powiedziało,
Bo się wstrząsnęły w tajemniczym lęku
I głosem strachu, podobnym do jęku,
Czarna gęstwina znagła zaszumiała
I wicher grozy przewiał nad obozem,
Targnął w przelocie namiotów płótnami
I zawył w drzewach, zaszarpał szczytami,
By pognać w ciemność zamglonym wąwozem.

Strach! — Już północna zbliża się godzina,
Wieziona chyłkiem przez wełniste chmury.
— Wartownik z wzrokiem, wzniesionym do góry,
Ściska kurczowo lufę karabina.
Strach! — Wprawne ucho każdy odgłos słyszy,
Każdy jęk wichru, każdy szept tajemny.
— A potwór lasu olbrzymi i ciemny
Szumi, lub tonie w tajemniczej ciszy.
Białe opary kłębią się wciąż, snują
I w mrokach nocy powolutku płyną,
Stają się cieniem, i jak cienie giną
I całą ziemię strachem obejmują.
Wartownik stoi. W bagnie strachu grząskiem
Topić się niechce — i serca zasila
Mocą potężną i krótką, jak chwila,
Mocą, jak rozkaz brzmiącą: obowiązkiem!!
Hej! Jak sen pierzchły widziadła i mary,
Jak sen spłynęły na lasy i pola
A obowiązku moc — żelazna wola
Wznosi się ponad omamień opary.
Zmieniają wartę. Szczęk broni stalowy,
Szept, ciche kroki, chrzęst namiotu głuchy
I cisza. Tylko czarnoskrzydłe duchy
Nocy tajemne prowadzą rozmowy.
Dnieje. Już niebo powoli zakwita
Barwą poranka. A na wschodniej stronie
Czerwienią krwawo prześwietloną płonie
Jutrzenka, w chmurki przejasne spowita.
A mrok, pajęczą czający się siecią
W borach, parowach, zaroślach i laskach,
Zmyka w nieładzie przed idącą w blaskach
Słonecznych światła i nieba zamiecią...

Borowik. Kl. VI.

Kutno, d. 25.XI.25.

Michał Anioł Buonarotti.

Szkic drugi.

(Dokończenie).

Wszystkie postacie „Sądu ostatecznego“ są przedstawione w niezmiernie natężonym, gwałtownym ruchu. Cały olbrzymi krąg otaczających Chrystusa tłumów — to jeden nieustanny wir, pęd ku górze, ku dołowi lub ku centralnej postaci Sędziego straszliwego majestatu. Cała ta kompo-

zycja zasadniczo się różni od wszystkich dawniejszych obrazów sądu. Zazwyczaj rozdzielano na nich wyraźnie piekło i niebo, podczas gdy u Michała Anioła i sfera zbawienia i sfera potępienia w jednym, jednolitym się rozwijają kręgu. Większa jeszcze różnica polega na scharakteryzowaniu postaci świętych czysto-ludzkiemi rysami, przejawami ziemskich uczuć, ziemskich popędów i namiętności. Czy nie jest to nadmiar samowoli artysty, lub może niekonsekwencja genjalnego odtwórcy czysto ludzkiego świata, który dla upostaciowania go w sztuce posługuje się wyobrażeniami i symbolami dogmatu religijnego? Istotną treścią dogmatu jest odpowiedzialność człowieka w jego życiu wiecznem. Jasnem jest, że żaden artysta nie zdołał odworzyć całej jej treści, biorąc z niej to tylko, co odpowiadało jego naturze i jego indywidualności. Cóż mógł ujrżeć w obrazie dnia sądu i gniewu twórca tragicznej epopei człowieczeństwa w kaplicy Sykstusa?

Jako chrześcijanin, wierzył on niewątpliwie w nadprzyrodzoną, pozaświatową przy spełnieniu się wieków dnia tego realność; jako artysta, przez genjusz swój powołany do plastycznego unaocznienia nam ideału człowieczeństwa w duchowo-cielesnej jego pełni i mocy, musiał on wyobrażenie dnia sądu ująć i odtworzyć przedewszystkiem, jako realną, nieustanną i powszechną w każdej chwili i na każdem miejscu odpowiedzialność człowieka wobec wieczystych jego zadań, wobec wieczystego ideału, jaki on nosi w swem łonie, A czyż ten ideał mógł się inaczej przedstawić chrześcijańskiemu artyście, aniżeli w Chrystusowej postaci, Chrystusowej mocy i chwale.

Przed laty wykuł już ten ideał Chrystusowego człowieczeństwa w przedziwnym marmurze grupy „Miłosierdzia“, jako istny cud przepięknego ciała ludzkiego, prześwietlonego nawskroś boską miłością, boską dla ludzkości ofiarą. Skoro jednak odwrócił oczy od tego nadziemskiego w swej sztuce zjawu na ziemi, cóż ujrzał na realno-życiowych poziomach? Ujrzał to, czegoby rad nigdy nie widzieć, ujrzał wyrzeczenie się, zaprzeczenie Chrystusowogo człowieczeństwa, sponiewieranie go, splugawienie na wszystkich poziomach życia. Wtedy zamknął w sobie samym ten wzniosły, święty ideał, zamknął go w świątyni własnej duszy, z której przeświecał on, promieniował przedziwnie wspaniałym i pięknym odblaskiem tragicznym w genjalnych tworach artysty.

Z tych promieniowań i blasków powstała też na sklepieniu Sykstyńskiej kaplicy tragedja oczekiwania, tragedja smutnych przeczuć, bolesnych, niekiedy rozpacznych wieszczeń. Aż wreszcie tragedja oczekiwania stała się w duszy ar-

tysty tragedją sądu, ideał człowieczeństwa wybłysnął z niej piorunowym błyskiem: postacią Chrystusa na obrazie Sądu ostatecznego.

A w tej cudownej postaci jest i Apollo, jest i Zeus, ale ponad Apollinem i Zeusem, jako upostaciowaniami bardzo wysokich, ale nie najwyższych momentów człowieczeństwa, jest w niej cały olbrzymi świat człowieczej istności, o którym nie śniło się nawet bogom staro-helleńskim, chrześcijański świat bogo-człowieczeństwa, nieskończenie wyższy ponad uwielbiany przez starożytne i nowożytne pogaństwo świat człowieko-bóstwa.

Czyż nie Bóg-Człowiek zasiadł tu w majestacie swej chwały na tronie z chmur, jako najwyższy Sędzia świata? Blask nadprzyrodzonej światłości zzewnątrz rozjaśnia jego osobę, ale większy jeszcze blask przyrodzonej jego jestestwu mocy bije z twarzy, z członków, z każdego niemal mięśnia tego przecudnego, bóstwem prześwietlonego ciała ludzkiego. Podniósł oto prawicę i, zda się, lada chwila piorun z niej padnie i zdruzgocze skalaną zbrodniami ludzkość. Panuje ta prawica w górze na tle światłości ponad całym obrazem Sądu, jako znak mocy, przed którą korzy się wszelki żywioł na ziemi i na niebie. Zgiął lewicę i dłonią ucisza rozgwar nieprzeliczonych tłumów, głos skargi i prośby o sprawiedliwość, ogromną bijący ku niemu falą. Nie zdoła ona wstrząsnąć granitowego, w potędze ugruntowanego spokoju jego postaci, co wśród wrącej dokoła zawieruchy kosmicznych wirów sama jedna trwa, panuje, rządzi przepotężnie spokojnym gestem władczej wszechmocy.

Jaka to twarz młoda, przedziwnie piękna, pełna wyrazu i skupionej siły, a jednak niezmącona, bez ruchu, bez drgnienia, marmurowa twarz Sędziego. Niema w niej tego, co zwykliśmy w obliczu Chrystusowem widzieć: bożej miłości i dobroci, lub bożych ogni świętego gniewu. Dlatego wydaje się ta twarz niedość ewangeliczną czy apokaliptyczną. Ale pamiętać trzeba, że mamy tu Chrystusa nie z dogmatu, nie z teologji, lecz z indywidualnej duszy ludzkiej wypostaciowanego, Chrystusa — zasadę wyższego życia ludzkiego, Chrystusa — ideał doskonałej pełni człowieczeństwa. Niema w nim ani gniewu, ani miłosierdzia, wyrok pada z koniecznością tkwiącej w istocie rzeczy siły fatalnej. Ludzkość jest tu we własnem sumieniu sądzona przez własne swe człowieczeństwo. Pohańbione, sponiewierane w rzeczywistości życia, na zaklęcie genjuszu twórczego, wybłyska ono z przeczystej duszy artysty, blaskiem płonącego w niej ideału ideału oczyszczone, i w realnej prawdzie sztuki zasiada na tronie swej chwały, na stolicy piękna i mocy, aby sądzić wrogie potęgi fałszu życiowego. Nie apollinowe, lecz Chrystusowe jest to człowieczeństwo,

bo przecież tamto nie posiada władzy sądu, samo oddawna osądzone przez religijno-moralny rozwój ludzkości, szczególnie w samowiedzy duchowej Michała Anioła.

Jeśli nikt z ludzi renesansu nie dorównał Buonarotti'emu w potędze wskrzeszania tego, co wieczyste w starohelleńskim ideale humanitarnym, to z pewnością nikt też bezwzględniej nie przezwyciężył tego, co w owym ideale było tylko przemijającym momentem rozwoju, a przedewszystkiem tkwiącej w nim dążności do samoubóstwienia, do pogańskiego człowieko-bóstwa, tak przeciwnego chrześcijańskiemu bogo-człowieczeństwu. Któż u Michała Anioła dopatrzy się tej dążności? Gdzież na świecie znajdziecie silniejszy wyraz chrześcijańskiej pokory wobec boskiego ideału i chrześcijańskiej godności w dążeniu do realizowania go we własnej swej ludzkiej naturze. Ale tę on, czciciel i rzecznik pełni i mocy życia, pojmować mógł li tylko w pełnym rozkwicie przeduchowionego ciała, przecieleśnionej duszy — i tutaj poczyna się jedna z tragedyj jego życia, tragedja osamotnienia tego renesansowego chrześcijanina pośród chrześcijan średniowiecznych i renesansowych pogan.

Tutaj też tkwi, jak mniemam, istotna przyczyna osamotnienia jego Chrystusa w sztuce. W tej pełni swego bujnego życia, w tej mocy kształtów swego ciała, w tym władczym geście wysoko ponad światem wzniesionej, karzącej prawicy, jest on w sztuce nowożytnej aż do dni naszych zjawiskiem jedynem i zagadkowem. A jednak każdy, ktokolwiek czuć umie, musi w tej postaci odczuć jakąś ogromną, istotną, choć daleką i niepochwytną prawdę ducha. Jest to prawda wielkiej żądzy duchowej, którą żył i tworzył w ciągu długiego swego żywota jeden z największych genjuszów świata. Krańcowemi jej w sztuce przejawami — dwie postacie Chrystusa, rozdzielone okresem lat przeszło czterdziestu w mamurowej grupie Miłosierdzia i we fresku Sądu Ostatecznego.

Pierwsze z tych dzieł powstało w kilka zaledwie miesięcy po męczeńskim zgonie Savonaroli i niewątpliwie pod wstrząsającem wrażeniem jego, pierwszem wrażeniem wszechludzkiego bólu, jakie do głębi poruszyć musiało młodego artystę, który tak genjalnie w twórczości swej miał je wyrazić. I tu widzimy jeden z objawów tragicznego osamotnienia artysty. Nie można go sobie wyobrazić wśród ascetycznych, uciekających od życia „płaczków", jak nazywano zwolenników Savonaroli, z drugiej przecież strony, jakże musiał czuć się pociągniętym dążeniami jedynego naówczas człowieka, co całą mocą swej heroicznej duszy chciał i usiłował ziścić na ziemi ideał chrześcijański, on, co ani w życiu, ani w sztuce nie rozstawał się nigdy

z myślą jego urzeczywistnienia. Obcy sposobom i środkom dążeń reformatora, jakże współczuć musiał ich celowi, a przy całym swym kulcie dla swobody sił życiowych, dla ich piękna i mocy, jakże mu był bliski surową wzniosłością arcychrześcijańskich swych uczuć i dążeń pośród płochego w pogańskim duchu używania i rozpętania życia, jakie dokoła szalało.

Jak bliskie zachodzi tu pokrewieństwo dusz, dowodem ów zasadniczy ton grozy w obrazie Sądu Ostatecznego, brzmiący po tylu latach wyraźnem echem kazań Savonaroli. Jak wielka wszakże zachodziła różnica pomiędzy dążeniami duchowemi świętobliwego, ale niehumanistycznego ascety i pełnego najszczytniejszych uczuć humanitarnych i humanistycznych artysty, dowodem niezmierne bogactwo bujnego szczeroludzkiego życia we wszystkich postaciach obrazu, a szczególnie w centralnej Chrystusowej postaci. Nigdzie tu ani śladu ascetyzmu, ni ascetycznej negacji ciała; owszem, wszędzie jaknajbardziej stanowcza jego afirmacja. A w tym nieskończenie urozmaiconym ruchu ciał jakież przeogromne bogactwo życia duchowego, jakież mnóstwo ludzkich uczuć, namiętności, żądz w największem ich spotęgowaniu. Wszystkie jednak nastrojone na główny, zasadniczy ton grozy i przerażenia. A czyż wtem nie przejawia się wydatny rys humanitarny, przenikający cały obraz? Nikt tu nie odosabnia się od człowieczeństwa, nikt nie zamyka się w oderwanej od życia ziemskiego rajskiej błogości; wszystkich zdaje się przenikać jakieś żywiołowe poczucie wszechludzkiej solidarności w cierpieniu, męce i trwodze, i wszyscy biorą jaknajbardziej bezpośredni udział w wielkim akcie sądu nad ludzkością. Nigdzie współczucia ani miłości, nigdzie litosnego wstawiennictwa i miłosiernego przebaczenia. Solidarność wszechludzka tylko w grozie i przerażeniu, we wzywaniu pomsty na winnych, w geście potępienia i odrazy. Ujawnia się tutaj jedna z właściwości duchowych artysty — aż do okrucieństwa w zewnętrznych swych objawach posunięta bezwzględność władnącego człowiekiem uczucia, w danym razie uczucia niezłomnej wierności ponad wszystko umiłowanemu ideałowi. Zdarza się taka wierność tylko u natur wyjątkowo silnych, a u najsilniejszych nawet nie osiągnęła wyższego stopnia mocy i trwałości, jak u Michała Anioła.

Znamy ten ideał w najczystszym duchu chrześcijańskim pojętego człowieczeństwa, któremu dozgonną wiarę artysta poprzysiągł. Jakim hołdem miłosierdzia uczcił go na wstępie swego zawodu w marmurze dla ludzkości umęczonego Boga-Człowieka! Ale czy ludzkość zawsze tylko miłosierdziem najszlachetniejszych swych synów czcić ma swój ideał najświętszy? Czy ofiara jedynem ma być w świe-

cie rzeczywistości ludzkiej prawem jego i udziałem? Czy nie jest raczej istotnem jego zadaniem stać się najrzeczywistszą rzeczywistością życia ludzkiego?

Wiemy, jak to zadanie odczuł i wyraził artysta całą mocą swych pragnień, tęsknot i oczekiwań — całą wszechludzką tragedją swej duszy. A w jakiej postaci mogło mu się objawić rozwiązanie tej tragedji: realizacja Chrystusowego człowieczeństwa w danych warunkach bytu ludzkości. Li tylko w postaci sądu i potępienia, wyrzeczonego nad wszelkiemi żywiołami, przeczącemi wprost ideałowi, czyli nad wszystkiemi zasadniczemi żywiołami rzeczywistości życiowej. I tutaj występuje w całej swej mocy owo wzniosłe okrucieństwo wiernego czciciela ideału w sądzie o hańbiącej go rzeczywistości. To samo okrucieństwo odzywa się w kazaniach Savonaroli, ale u świętobliwego ascety było ono okrucieństwem względem cielesnego, ziemskiego człowieczeństwa, popełnionem w imię bezcielesnej, nadziemskiej idei, — u twórcy Sądu zaś apoteozą przeduchowionej cielesności w postaci Chrystusa, boskiego herosa, Chrystusa, ukształtowanego w duszy artysty namiętną żądzą pełnej w ziemskiem, cielesnem człowieczeństwie realizacji Chrystusowego ideału.

I oto tajemnica tej wzniosłej postaci uczłowieczonego Bóstwa, w imię swego człowieczeństwa rzucającego wyrok potępienia na odczłowieczoną ludzkość — dziwnej, jedynej w swym rodzaju postaci, jak jedyną w swej wzniosłej mocy była dusza ludzka, co ją wymarzyła i wytworzyła z siebie.

Mówicie: niema w niej miłości, niema miłosierdzia. Patrzcie na owe grupy aniołów, co w zawrotnym pędzie jakiegoś kosmicznego lotu niosą narzędzia męki Chrystusowej, — niosą je w dal wieków i świata, jako przedmioty czci miłosierdzia ludzkiego dla najświętszej ofiary pośród ludzkości ku zbawieniu jej dopełnionej. A ku wzbudzeniu miłosierdzia waszego dla siebie trzymają krwawi bohaterowie wiary materjalne oznaki swych cierpień. A miłosierdzie czyż to nie wyraz miłości w najistotniejszej sferze bytu ludzkiego, bo w sferze cierpienia.

A czemże jest to całe rozwiązanie tragedji tęsknoty i oczekiwania, jeśli nie jednym wielkim aktem miłości dla oczekiwanego a nieziszczonego ideału człowieczeństwa?

Wł. Kamiński. Kl. VIII.

Stanisław Staszyc.

W styczniu roku 1926-ego przypada stuletnia rocznica śmierci Stanisława Staszyca, gorącego przyjaciela ludu

wiejskiego, znakomitego uczonego, niestrudzonego pracownika około moralnego i materjalnego odrodzenia narodu. Słusznem więc i koniecznem jest, abyśmy my, młodzież polska, godnie uczcili pamięć tego zasłużonego męża.

Stanisław Staszyc urodził się w roku 1755 w miasteczku Pile (obecnie przydzielonem na podstawie Traktatu Wersalskiego do Rzeszy Niemieckiej, a które Niemcy nazwali „Schneidemuehle“). Ojciec jego piastował urząd burmistrza; był to prawy i szlachetny Polak, który dbał o staranne wychowanie syna. Pierwsze nauki pobierał Staszyc w domu. W siedemnastym roku życia zapisał mu ojciec skromny majątek i wysłał go zagranicę. Tam to w Lipsku, Getyndze, a następnie w Paryżu dojrzewał umysł młodego Staszyca, zaprzątnięty początkowo studjami nad teologją. W stolicy Francji zaznajomił się z wielu znakomitymi uczonymi, a idąc za prądem czasu, zmienił kierunek swych studjów i oddał się nauce geologji, fizyki, oraz historji naturalnej. Gruntownie wykształcony, pełen chęci, służenia krajowi swoją wiedzą, wrócił do Polski po pierwszym rozbiorze. Ale niestety: były to czasy rządów szlacheckich, kiedy mieszczanie mieli prawa ograniczone. Nie wolno im było sprawować żadnego urzędu (prócz miejskich), radzić nad potrzebami w sejmie, ani posiadać ziemi.

Nie mógł więc Staszyc zająć w Polsce takiego stanowiska, jakie mu się należało. Bolała go własna krzywda, ale jeszcze więcej odczuł krzywdę całego mieszczaństwa polskiego. Mógłby był porzucić ziemię ojczystą, która mu była macochą i szukać lepszych dla siebie warunków życiowych na świecie szerokim, ale Staszyc nie zabiegał o własne szczęście, lecz życie jego całe było jednym wielkim trudem, by rodakom los poprawić. Chociaż nieuznany, nie rzucił ojczyzny, ale postanowił pozostać w niej i pracować dla niej i dla jej synów, jak sługa najwierniejszy. Osiadł w Warszawie, gdzie poznał się z kanclerzem wielkim koronnym, Andrzejem Zamoyskim, który, podobne przekonania życiowe mając, chętnie go na swoim dworze, jako wychowawcę swoich synów, widywał. Zamoyski zabezpieczył byt Staszycowi nazawsze, on zaś, nie mając żadnych przeszkód materjalnych, oddał się z całym zapałem i gorliwością nauce.

Były to czasy, kiedy w Polsce zaczęło budzić się nowe życie. Naród jakby odzyskał nagle wzrok po stuletniej ślepocie — dążono do reform. Powstała komisja Edukacyjna, jednostki dobrej woli chciały dźwignąć kraj z nędzy, a włościjan z ucisku. Ale potrzeba było człowieka, któryby powiedział jasno i przekonywująco, co robić, któryby wstrząsnął umysły ogółu szlachty, tej, która błądziła w mro-

kach zacofania. I oto odezwał się wzgardzony mieszczanin — Staszyc. Przemówił piórem.

W roku 1781 wydał on „Uwagi nad życiem Jana Zamoyskiego, owoc długoletnich badań, dzieło, w którem każda karta tchnie miłością narodu. Sam tytuł tego utworu nie odpowiadał wprawdzie treści, bo dzieło to zawiera cały plan przebudowy państwa i odrodzenia. Z niezmierną siłą miłości względem ojczyzny wykazał tu Staszyc wszystko zło, które było główną przyczyną upadku Polski. Autor domagał się zniesienia „liberum veto“, radził znieść tron obieralny, a zaprowadzić dziedziczny, dopominał się równouprawnienia mieszczan wobec szlachty, dla ludu wiejskiego żądał oświaty i uwłaszczenia, nawoływał do wychowywania młodzieży na ludzi światłych i użytecznych, bo wtedy wszyscy będą szczęśliwi. Głos jego nie przebrzmiał bez echa, a myśli przeniknęły do słynnej Ustawy Trzeciego Maja.

Łącznie z upadkiem ducha narodowego, począł znikać ruch umysłowy. Staszyc, rozumiejąc doniosłość nauki, starał się zapobiec jej upadkowi. Przybył do Warszawy gdzie stał się duszą Towarzystwa Przyjaciół Nauk, ofiarowując mu swoją bibljotekę i zbiory naukowe. Na rogu Nowego Światu i Krakowskiego Przedmieścia zbudował pałac, którego fronton zdobi pomnik Kopernika. Gdy powstało Księstwo Warszawskie zajął poważne stanowisko w Izbie Edukacyjnej, następnie wszedł do rady królewskiej, gdzie położył niespożyte zasługi w zakresie reorganizacji szkolnictwa. Przejęty miłością bliźniego aż do samozaparcia się postanowił wszystko, co miał, oddać na cele publiczne, i żył samotnie. Ostatnie lata poświęcił pracy dla ludu, który mieszkał w jego dobrach. Rozdał przeto majątek Hrubieszów włościanom, pozakładał szkółki elementarne, wspólną kasę. Pozostawił testament, w którym przeznaczył cały olbrzymi majątek na cele dobroczynne.

Po upadku Księstwa Warszawskiego został ten wielki patrjota członkiem władz, opiekujących się oświatą i przemysłem. Teraz zdarzyła mu się sposobność wykazania swoich wiadomości z zakresu geologji. Założył szkołę górniczą w Kielcach, szereg kopalni i hut. Wykazał on, co może zdziałać czyn, ofiarnie niesiony ojczyźnie. Nieugięty charakter i silna wola umiały zawsze każdą myśl w potężny czyn przekuć. Pozostanie on dla nas wzorem pracy niestrudzonej, odwagi i bezgranicznego poświęcenia, a dzieła jego będą świadczyły o prawem, szlachetnem i ofiarnem sercu polskiem. Oto wspomnienia, które niesiemy mu w darze w setną rocznicę.

M. Okrzesiński Kl. IV.

Kutno dnia 3/XII.1925 r.

Z zagadnień twórczości.

Wgłębianie się w sztukę wiedzie poniekąd do wyników dwulicowych. Poznaje się, czem sztuka jest i nie jest. Weźmy kilka przykładów. Sztuka naśladuje bądź co bądź rzeczywistość. Malarz i rzeźbiarz zatapiają się w przyrodzie. Poeta śledzi tętno życia. A jednak samo naśladowanie czynności ich nie wyczerpuje. Większa część pracy artysty polega na technicznem kształtowaniu materjału. A jednak najskrupulatniejsza analiza procesu kształtowania nie wyjaśnia nam jeszcze procesu tworzenia. Sztuka igra z rzeczywistością. Bawi się jej formami. Gra linji arabeski lub ornamentu jest prawdziwie igraszką — im dowolniejszą, tem więcej czarującą. A mimo to nie igraszka jest owym ogniem, który się pali w duszy artysty i nieraz nawet ją spala.

Artysta jest niewątpliwie zależny od form rzeczywistości, lecz nie niewolniczo. Czynników prawdziwie twórczych należy więc z natury rzeczy szukać w sferze jego niezależności od rzeczywistości. Czysty psychologiczny akt twórczy, rozgrywający się w jego duszy, wysuwa się na naczelne miejsce. Tymczasem możemy akt twórczy określić ogólnikowo, jako znalezienie jakiegokolwiek oryginalnego pomysłu, nadającego się do wcielenia w jakikolwiek materjał. Lecz każde znalezienie poprzedza zazwyczaj szukanie. Ważnem tedy będzie zdanie sobie przedewszystkiem sprawy z ustroju psychicznego, p o p r z e d z a j ą c e g o sam akt twórczy artysty.

Liczne zeznania artystów pouczają nas, że znalezienie oryginalnego pomysłu jest często wynikiem długich i mozolnych wysiłków. Od innych znów słyszymy, że pomysły twórcze rodzą się w ich duszach bez przygotowania, ni stąd ni zowąd, nagle, niemal błyskawicznie. Samorzutnie nasuwają się jednakże wątpliwości. Może każdy pomysł był już ostatniem ogniwem całego szeregu wysiłków? Miały one miejsce już kiedyś w przeszłości. Później uszły z pamięci. Lecz ich działanie podświadome, t. zw. psychiczna dyspozycja do nich, najzupełniej mogła nie wygasnąć. Wszystko, co było kiedykolwiek w pamięci, nie musi wprawdzie, lecz może znów się w umyśle pojawić. Potrzeba tylko korzystnych warunków.

Jedynie skrupulatne poszukanie własnej pamięci, szczegółowa autoanaliza może artyście ujawnić, czy nagły, nowy pomysł jest rzeczywiście całkowicie nagłym i nowym, czy nie poprzedzały go czasem mniej lub więcej umyślne tendencje w jego kierunku.

Cała sprawa jest oczywiście zależną od indywidualnej organizacji twórcy. U jednych przejawia się twórczy pomysł może tylkó jako wynik doraźnych doznań, u drugich, jako ostatnie ogniwo pryytłumionych już tendencyj przeszłości; u innych wreszcie zachodzi niewątpliwie i jedno i drugie. Pominąwszy te indywidualne różnice, jest pomysł twórczy w każdym razie wypływem szczególnych psychicznych warunków, które tworzą właściwy nastrój twórczy.

Cóż cechuje więc sam nastrój twórczy, niezależnie od warunków, w których powstaje? Odrazu widoczna jest niezwykła koncentracja sił duchowych. Artysta się skupia. Prawdziwie pogrąża się w sobie. Usuwa ze swej świadomości wszelkie momenty zbyteczne. Przytępia zmysły. Nie widzi i nie słyszy, co się wokoło niego dzieje. Śni jakoby na jawie. Nieczuły na wrażenia zewnętrzne, tem silniej poddaje się wewnętrznym. Przed wewnętrznym jego wzrokiem przesuwa się szereg obrazów, wizyj optycznych i akustycznych. Lecz żadna z tych wizyj nie zatrzymuje się jeszcze w jego pamięci. Nie jest to jeszcze ta, której szuka. Ta gonitwa form, zmierzająca do celu, a jednak jeszcze go nie dosięgająca, wywołuje niepokój, często nawet wzburzenie.

I wtenczas zdarza się zjawisko niezwykłe. Artyście objawiają się wizje heteronomiczne, słyszy on jakąś tajemniczą muzykę, spostrzega jakieś piękne, czarodziejskie obrazy. Wyczuwa on wtenczas ustawiczne powinowactwo barw, dźwięków i zapachów, słyszy to przypływające, to odpływające dźwięki z oddali. Wszystko to zaś przenika i dopełnia się ustawicznie.

O takiem powinowactwie kwiatów i cieni śpiewa nam piękny wiersz Wincentego Brzozowskiego:

O, bezskrzypcowych łkań
Tańce gwiazd pod oponą niebiosów,
O, pląsy, migotań i drgań
Świetlaków wśród kwiecia zapomnień i wrzosów.

Kwiaty i robaczki świecące, taniec i bezgłośna muzyka gwiazd spływają doszczętnie w siebie: doskonały to wyraz wzajemnego przenikania się wizyj najprzeróżuiejszych. A takie przedziwne skojarzenia nachodzą artystę specjalnie w chwilach głębokiej koncentracji twórczej. Potwierdza się wówczas samorzutnie jednaka istota wszystkich sztuk. Przez artystę przepływa prąd wiekuiście jednakiego piękna, lecz szuka sobie ujść najróżnorodniejszych.

Wzburzenie i wzruszenie, towarzyszące nastrojowi twórczemu, jest wielce podobne do rzeczywistej burzy. Zu-

pełnie jak czarne chmury na niebie, tłoczą się wizje w duszy artysty. Niepokój jego potęguje się ustawicznie. Koncentracja posuwa się do szczytu — aż wreszcie rozjaśnia wszystko błyskawica koncepcji. Wzburzone falowanie wizyj ustaje wówczas. W umyśle artysty zatrzymuje się wizja, której szukał, Doświadczalnym dowodem znalezienia jest uczucie ulgi i uspokojenia. Rozumowanie i analiza nie odgrywają jeszcze żadnej roli, wchodzą dopiero później w grę. Narazie, w samej chwili koncepcji, zaważa na szali tylko intuicyjne odczucie, Artysta zdaje sobie sprawę bezpośrednio i odruchowo, że uchwycił wreszcie to, czego mu było potrzeba.

O wybitnych indywidualnych różnicach i tutaj pamiętać należy, Jak warunki tworzenia są u każdego artysty inne, tak też i sam przebieg psychicznego procesu ulega licznym odmianom. O uwzględnieniu wszystkich odmian niema naturalnie mowy, dochodzenie takie przedłużyłoby się w nieskończoność. Powyższy szkic nastroju twórczego jest przeto tylko schematyczny. Uwydatnia on tylko cechy typowe, nie wchodząc w to, czy one zawsze wszystkie i czy wszędzie zupełnie tak samo wyglądają. Rozstrzyga jedynie okoliczność, czy cechy te są rzeczywiście prawdziwe. To zaś nie ulega wątpliwości. Mowa tu z natury rzeczy tylko o chwilach prawdziwego, szczerego natchnienia.

Bardzo wiele utworów rodzi się jednak z mniejszego natchnienia, a nieraz nawet i bez natchnienia. Bezduszna technika i rutyna zagnieździły się w państwie sztuki niewytępialnie, Na każdej wystawie obrazów wiszą zgodnie obok siebie wypływy zimnego wirtuozostwa i gorących uniesień. A niezliczeni ci rutyniści mogliby, gdyby się zdobyli na szczerość, przyznać, że o wichrze i błyskawicach twórczych zgoła nic nie wiedzą. A mimo to tworzą rzeczy, poczytywane za prawdziwe dzieła sztuki. Ta płynność granic między sztuką a zręczną pseudo-sztuką odgrywa więc i tutaj swą tak fatalną rolę.

A wobec takich przeciwieństw powinna tem więcej psychologja twórczości zwracać się wyłącznie ku twórczości najczystszej, najwięcej natchnionej — i tylko według tej nejistotniejszej modły tworzyć sobie obraz o twórczości wogóle.

(D. n.) **Wł. Kamiński**. Kl. VIII.

Z polskiego Pomorza.

Pięknym a zarazem groźnym żywiołem jest woda. Piękno jego podziwiamy i w potężnych rzekach, we wart-

kich strumieniach i w rozległych jeziorach, lecz najbardziej w beskreśnem morzu, które zachwyca nas urokiem swym i rozmaitością widoków. Wspaniałe jest ono w dzień burzliwy. Po niebie przewalają się wówczas ciężkie chmury, kolor wody staje się ołowiany, fale uderzają potężnie o brzeg, rozbijając się na miljony bryzgów. Słychać huk, podobny do uderzeń grzmotów podziemnych. Jak okiem sięgnąć, wszędzie szaleje ten sam rozpętany żywioł, najeżony białogrzywemi falami. Widok to przejmujący i groźny, dla swej potęgi i siły.

Zupełnie inaczej przedstawia się morze w pogodny, słoneczny dzień. Jest ono spokojne, ciche, błyszczące i barwne. Mieni się ono różnorodnymi odcieniami zieleni. Woddali na horyzoncie widać samotny żagiel, tam znów obłoczek dymu potężnego parowca. Ciszę przerywa jedynie krzyk mew, szybujących nad falami. Wszystko w słońcu wygląda wesoło i zdaje się oddychać radością życia.

W taki słoneczny, śliczny dzień wybraliśmy się na wycieczkę do Rzucewa, Pucka i na płw. Hel. Toteż byliśmy wszyscy w wybornym nastroju, który petęgowała świadomość radosnej dumy, że mamy przed sobą nie jakieś obce wody, lecz polskie morze. Rano przybyliśmy z Radłowa do Gdyni, gdzie przy molo stał między okrętami wojennemi maleńki, 30-osobowy kuter, będący własnością państwową i służący do wypraw naukowych. Kuter jest to duża, żaglowa łódź rybacka, zaopatrzona w motorek, pędzony ropą. Posiada ona trzy kajuty: w tylnej znajduje się motor, środkowa jest przeznaczona dla pasażerów, przednia zaś dla załogi. W kajucie może pomieścić się najwyżej 6 osób. Załoga składa się z trzech ludzi. Maszt, umożliwia rozpięcie żagli. Pokład ma zabezpieczać niziutka barjerka, zdaje mi się jednak, że mimo takiego zabezpieczenia, można wpaść do wody. Taką łodzią wyruszyliśmy w drogę z Gdyni prosto na północ.

Pierwsze wrażenie było przykre. Kołysanie statku wywołało zawrót głowy. Głos motorka przeszkadzał w rozmowie. Wnet jednak zapomnieliśmy o tem, gdyż zwróciliśmy całą uwagę na piękno widoków. Z lewej strony mieliśmy Oksywję, przylądek dosyć wysoki, o prostopadłych ścianach od strony morza. Na nim widać było kościółek i cmentarz. Morze było szmaragdowe, nieco dalej malowały się żółtawe, płytsze miejsca, a na widnokręgu widać było półwysep Hel z czarną szmugą lasu i jaśniejącą plażą. Na końcu półwyspu błyszczał w słońcu jasny punkt, była to latarnia morska. Dalej, na lewo rysował się dosyć wysoki brzeg, porośnięty u góry krzakami żarnowca, niżej bielejący piaskiem plaży i żółtym stokiem. Następnie brzeg oddalał się i stawał się niski i porośnięty lasem, była to

zatoka Rewska. Widać było kilka osad ludzkich w oddali, komin fabryczny i pałac z czerwonej cegły. Przewodnik wycieczki objaśniał, że to jest Rzucewo, pierwszy etap naszej podróży. Zbliżyliśmy się do wąziutkiego pomostu, znajdujacego się już w morzu. Staraliśmy się przybyć do niego z boku, zdażało się jednak, że całe dno zasypane było cegłami i nasz kuter grzązł. Wspólnemi siłami motoru i ludzi, odpychających kuter żerdziami, ruszyliśmy z miejsca i dobiliśmy do pomostu, na samym końcu. Teraz ukazała się nowa trudność, gdyż pomost składał się tylko z dwu podłużnych belek, na których leżały szyny wązkotorowej kolejki. Trzeba było niemałej uwagi, żeby noga nie zsunęła się z belki, gdyż w takim razie można było wpaść do wody. Byli między nami zwolennicy przejścia po jednej belce i po dwóch. Po wzajemnej pomocy jakoś tam poszło. Minęliśmy cegielnię i weszliśmy do pięknego parku. Tam zobaczyliśmy ów pałac, który widać było już z oddali. Pochodzi on z ubiegłego stulecia, jest dziełem architekta Stuelera. Lecz najpiękniejszym zabytkiem w Rzucerze jest aleja lipowa Jana Sobieskiego, prowadząca do Osłonia. Jan III podobno nięzmiernie lubił przebywać z żoną w Rzucewie i zachwycał się stąd morzem. Wielki ten król marzył tutaj może o utworzeniu floty polskiej i widział oczami wyobraźni z okien swego pałacu polskie okręty, pływające po wodach Bałtyku. Z pałacu pozostały zaledwie szczątki fundamentu, lecz z czasów króla Jana pochodzą te sędziwe lipy, które zapewne nieraz widziały wspaniałe orszaki, przeciągające do pałacu. Widziały one potem wojska moskiewskie, saskie i szwedzkie. Stoją one nieme, jak gdyby utrzymywały w tajemnicy wszystko, co widziały.

(D. n.) **M. Chlewicki**, Kl. VI.

GŁOSY MŁODSZYCH KOLEGÓW.

GWIAZDKA.

W Krzyszkowie, własności dziedzica Antoniewicza, mieszkała biedna wyrobnica z małym synkiem. Cały dzień nie było jej w domu, a malec musiał siedzieć w izbie zamknięty. Izba była niska, brudna, a zewsząd wyzierała nędza i zniszczenie. W kącie stał stary, nawpół rozwalony kominek, na którym były potłuczone garnki. Pod ścianą znajdowało się łóżko, które zajmowało większą część izby. Niedaleko okna, w którym zamiast szyb były powklejane papiery, stał stołek bez jednej nogi. Chłopiec najczęściej siedział, lub leżał na tapczanie ze wzrokiem utkwionym

w pułapie. Marzyły mu się piękne pokoje, góry, lasy i zdawało mu się, że jest panem tego wszystkiego. Każdego wieczora wracała matka, rozpalała ogień na kominku i gotowała wieczerzę. Po skończonej wieczerzy kładli się spać, a chłopcu śniły się rzeczy, których ani mieć, ani widzieć nie mógł.

Tak upływały dni i miesiące. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia. We dworze, gdzie mieszkał dziedzic, widać było wielkie poruszenie i gorączkowe przygotowania, jakie bywają zwykle przed świętami. Synowie dziedzica zjechali się ze szkół i robili wycieczki po wsi. Syn wyrobnicy widział ich nieraz, jak przechodząc obok ich chaty, śmiali się, opowiadając sobie coś wesołego. Chłopiec zazdrościł im ciepłych palt, lecz najbardziej tego, że będą mieli choinkę.

Nadeszła wigilja Bożego narodzenia. Od strony dworu słuchać było śpiewy i granie skrzypiec. Syn ubogiej wdowy siedział przy oknie i wsłuchiwał się w te tony. Matka nie wracała, bo gdzieś zatrzymała się u znajomych na wieczerzy, a on siedział, słuchał i marzył. Wreszcie znużony zasnął i śniło mu się, że do izby wszedł jakiś pan, wziął go za rękę i wyprowadził. Noc była cudna. Księżyc świecił jasno, a gwiazdy skrzyły się, jak brylanty. Niebo było ciemno-szafirowe. W dali widać było las, a wierzchołki drzew pokryte, śniegiem błyszczały, jak srebrne. Nieco bliżej, w świetle księżyca tonął stóg, który wyglądał, jak wielka, migocąca, brylantowa kula.

Żdziwiony i zachwycony deptał chłopiec obok mężczyzny, który zmierzał ku pałacowi dziedzica. Pałac stał w cieniu wysokich topól. Otaczał go ze wszystkich stron park, przez który prowadziła cienista aleja. Ściany pałacu pomalowane były na biało, a kolor ten jeszcze bardziej uwydatniał się na ciemnem tle krzaków i drzew. Po kilku minutach weszli w aleję. Nagle, milczący dotąd pan skręcił na lewo i powiódł go nieznanemi dotąd ścieżkami. Park się skończył, a przed nimi ukazał się pałac. Nieznajomy pan wprowadził go do wnętrza, a gdy, minąwszy kilka pokoi, weszli do sali, gdzie stała choinka, oniemiał chłopiec z zachwytu. Stała ona na środku pokoju, ustrojona była w różne kule złociste i srebrzyste, w ciastka, a na samym szczycie widniała duża gwiazda, z której płynęły potoki światła na cały pokój. Lecz najładniejsze rzeczy leżały pod choinką: lśniąca szabla, mały, prawdziwy karabinek, bębenek z pałeczkami, świecące się łyżwy, obok nich paczka książek ze ślicznemi obrazkami. Chłopiec chciałby się tego wszystkiego dotknąć, obejrzeć, ale pan, który go tutaj przyprowadził, nie puszczał jego ręki ani na chwilę. Wtem w przyległym pokoju rozległy się odgłosy kro-

ków, a pan cofnął się z nim za szafę. Do pokoju wbiegli synowie dziedzica. Z zachwytem wpatrywali się w podarki, leżące pod choinką. — Nawzajem podawali sobie książki, lecz najstarszy, który pierwszy schwycił karabinek, nie chciał go oddać nikomu. Gdy ustały okrzyki zachwytu i znikła pierwsza radość, zbliżyli się chłopcy do rodziców, dziękując za podarki na gwiazdkę. Następnie, usiadłszy wokoło choinki i zapaliwszy świeczki, zaczęli śpiewać kolendy. Śpiew płynął z młodych piersi. Chłopiec, ukryty za szafą śmiał się i płakał z radości. Wtem obudził się. Oto matka ujęła go za ręce. Sen prysnął, smutna rzeczywistość! Matka, która już powróciła, zobaczywszy, że syn jej przez sen płacze i śmieje się, obudziła go, nie wiedząc, jaką mu krzywdę tem wyrządziła. Zbudzony ze snu chłopiec, nie pojmował z początku, gdzie się znajduje. Dopiero, gdy zobaczył matkę i brudną izbę, zaczął płakać, a sen o choince rozwiał się i rozprysł, jak bańka mydlana.

W. **Nowakowski**. Kl. III.

Gniew bogów.

I.

Puszcza była zarośnięta krzewami i odwiecznemi drzewami tak gęsto, że nawet promienie słoneczne nie mogły zbadać jej tajemnic i dotrzeć swemi promieniami w głąb gąszczu. Przez tę puszczę przedzierał się człowiek. Twarz miał ospowatą, brzydką, o dziwnym wyrazie twarzy, nie wzbudzającym zaufania. Uzbrojony był w oszczep i mieczyk, którym torował sobie drogę. Ze zmęczenia, widocznego na jego twarzy, można było wnioskować, że szedł już dosyć długo. Puszcza stawała się rzadsza, wreszcie oczom wędrowca ukazały się się uprawne pola po środku których stał gród warowny. Kiedy zobaczono obcego przybysza, według zwyczaju gościnności proszono go do domostwa z grubo ciasnych bali, ale najokazalszego w grodzie. Na spotkanie nieznajomego wyszedł męszczyzna w sile wieku, ubrany w skóry bawole. Zaprowadził podróżnego do komnaty, która tonęła w mroku. Jedynemi sprzętami, znajdującemi się w komnacie były ława i łoże ze skór. Przybysz, po wyjściu gospodarza, położył się i zasnął wnet. Dopiero po południu przyszedł gospodarz do komnaty gościa, oznajmił mu, że dzisiaj obchodzą święto „Łady" i że może w uroczystości przyjąć udział. Obcy wymówił się zmęczeniem. Gospodarz przysłał mu dużą porcję jedzenia, którą gość zjadł z apetytem. Tymczasem mieszkańcy grodu obchodzili święto „Łady", bogini wiosny. Dziewczęta i chłopcy ubierali posąg kwiatami i zielonością. Potem nastąpiły tańce i śpiewy, które trwały do późnej nocy.

Noc zapadła. W świątyni Świętowita spokój i cisza. Nikogo niema, pustka. Naraz coś zaszeleściało i cień jakiś przesunął się wzdłuż ściany. To chyba zjawa? ale nie! Z toporem człowiek. Ale czyż może mieć dobre zamiary? Przychodzi o tak późnej porze. Naraz rozległy się przytłumione uderzenia. Zaciekawiony księżyc spojrzał przez okno do kontyny. I cóż zobaczył pod razami topora? Posąg Świętowita drżał i chwiał się, wreszcie runął. Postać jakaś, jak widmo, przesunęła się ku wyjściu.

Na drugi dzień kapłani przerażeni tem, co się stało, przepowiadali zemstę bogów.

. . . .

I tak się stało. Wskutek nadmiernych deszczów nasienie zboża gniło i nie kiełkowało wcale. Chcąc przebłagać bogów, trzeba było znaleźć winowajcę i uczynić z niego ofiarę Świętowitowi.

II.

W jakieś trzy miesiące po tym wypadku, który wstrząsnął umysłami Pomorzan, na granicy pomorsko-germańskiej paliło się małe ognisko. Przy tym ognisku siedziało dwóch ludzi o niemiłej powierzchowności.

— Ale udało mi się z tym posągiem — mówił jeden — dobrego figla spłatałem Słowianom.

— Nie ciesz się — rzekł drugi — teraz Pomorzanie uważają, że bogowie mszczą się i szukają cię, aby uczynić ofiarę Świętowitowi.

— Nie takim głupi żeby dać się złapać.

— Niedługo już będziemy na zamku murgrabiego.

— Ucieszy się z mojego figla.

— Z pewnością, może cię obdarzy...

Dalsze słowa ugrzęzły mu wgardle, gdyż pięciu rosłych mężczyzn powaliło siedzących i porwało na konie.

— Jakim prawem napadacie na nas — powiedział jeden ze związanych—rozkazuję ci natychmiast mnie puścić.

Lecz żaden z jeźdźców nie odpowiedział, pomimo krzyków i protestów obydwu związanych.

Po kilku tygodniach podróży, przyjechali do grodu, gdzie winowajcę skazali na spalenie na ofiarę Świętowitowi.

Tłumy ustawiły się wkoło stosu, na którym miał zginąć sprawca nieszczęścia. Podpalono stos. Ogień pożerał

powoli drzewo. Ogniste języki wydłużały się, aż wreszcie zaczęły lizać ciało skazańca. Rozległy się nieludzkie krzyki, wydawane przez ofiarę, ale i to ucichło... Tłumy zaczęły się rozchodzić do domostw, a kapłani wznosili modły do Świętowita.

— — — — — — — — — — — — — — —

Oblicze bogów rozjaśniło się. Do Pomorzan wróciło szczęście. Po grodach i siołach opowiadano sobie o mocy i dobroci Świętowita.

B. Oyrzanowski. Kl. III.

Przegląd pism.

Z pośród wszystkich pism uczniowskich wybijają się na pierwsze miejsce „Wici", czasopismo młodzieży filareckiej gimn. Długosza we Włocławku. Pismo to jest redagowane dość starannie. Zeszyt trzeci zawiera artykuły o stosunkach rozmaitej treści. Na wyróżnienie zasługuje nowelka „Przebudzenie", oraz artykuł „O bezczeszczeniu mowy ojczystej". W humorezce, zatytułowanej „Lekcja warjatów" trudno doprawdy dopatrzeć się humoru, gdzieniegdzie staje się treść nieprzyzwoita.

Drugiem pismem włocławskiem jest „Echo", organ szkół średnich, Zeszyt I—II zawiera artykuły, tak o treści poważnej jak i wesołej, coprawda bez głębszego opracowania tematów. Jednak często spotyka czytelnik błędy stylistyczne. Przykro doprawdy, aby w pisemku uczniowskiem, którego zadaniem pomiędzy innemi jest kult dla poprawnej mowy polskiej, spotykał czytelnik takie błędy. Dużo jeszcze pracy muszą dołożyć współpracownicy „Echa", ażeby to pismo stanęło na odpowiednim poziomie.

Od strony Płocka ukazał się „Świt" (czyżby tam mroki były dotychczas?) (pismo stowarzyszenia koleżeńskiego gimn. im. St. Małachowskiego). Nr. 3—4 zawiera artykuły o wartości dosyć niewielkiej. Pozatem w „Świcie" brak zupełny artykułów o treści naukowej. Poziom umysłowy pisma znacznie się obniżył w porównaniu z poprzednim rokiem.

„Na straży" (mies. literacki i naukowy młodzieży Państwowej Szkoły Mierniczej i Drogowej w Kowlu Nr. 15) posiada dosyć bogatą treść. Na wzmiankę zasługują artykuł wstępny p. t.: Jutro nasze — to zgoda i siła, oraz „Samobójca". Naogół pismo redagowane jest dobrze.

„Powściągliwość i Praca“ (mies. ilustrowany tow. św. Michała Archanioła, zeszyt II—III) jest poświęcona przeważnie sprawom kulturalno-społecznym i religijnym.

„Nad poziomy“ (czasopismo młodzieży gimnazjalnej w Krasnymstawie, Nr. 2) nie odznacza się wartościowemi artykułami, brak treści poważnej, wesołej. Widać dużo dobrych chęci, by podnieść wartość pisma.

Dwa pisma seminarjów nauczycielskich siedleckie „Hasło“ (Nr. 5) i łomżyński „Seminarzysta“ (Nr. 2) są niezbyt interesujące. Czas już, ażeby pisma uczniowskie, stanęły nareszcie na poziomie dla nich odpowiedniem i stały się organami, wychowującemi młodzież i odzwierciedlającemi wewnętrzne życie szkolne.

O treści „Głosu młodzieży“, jako ubogiej, nie wspominamy.

H. Gniazdowski. Kl. VII.

KRONIKA.

KÓŁKO LITERACKIE. Dnia 22-go r. b. odbyło się zebranie Kółka literackiego. Kol. J. Jałowiecki wygłosił referat p. t.: Wartość i znaczenie „Przebojem“. W Dyskusji nad powyższym referatem brali udział pp. prof.: Piniarowiczówna, dyr. Kostro. ks. Wolanin i Anders, oraz kol.: W. Sosnowski, P. Heyman, E. Berezowski, Wł. Kamiński, J. Jałowiecki, R. Ciechowicz. Przewodniczył zebraniu kol. J. Borkowski.

KÓŁKO FIZYCZNO-LOTNICZE. 1) SEKCJA CHEMICZNA. Dnia 10-go listopada r. b. zbadano chłonność węgla.

Dnia 1-go grudnia r. b. przeprowadzono doświadczenie z wysolaniem białka siarczanem amonu, oraz otrzymano koagulację białka zapomocą gotowania roztworu białka, oraz zalewania alkoholem i rozcieńczonym kwasem siarkowym.

2) SEKCJA FIZYCZNA. Dnia 14-ga listopada r. b. omawiano zastosowanie mostka Wheatstone'a, oraz przeprowadzono elektrolizę wody.

Dnia 21-go listopada r. b. obliczano energję elektryczną w watach przy danem napięciu i natężeniu w woltach i amperach.

Dnia 28-go listopada r. b. przeprowadzono doświadczenie na zastosowanie elektrycznego prądu w oświetleniu, a jeden z członków sekcji przedstawił działania mechanizmu automatycznej lampy łukowej.

3) SEKCJA LOTNICZA. W listopadzie zebrań sekcji odbyło się cztery. Na zebraniach budowano modele latające.

SKŁAD KOMITETU REDAKCYJNEGO. Komitet redakcyjny składa się obecnie z przewodniczącego, który jest równocześnie redaktorem naczelnym, i z dziesięciu członków. Redaktorem naczelnym jest kol. Wł. Kamiński, członkami Komitetu są kol.: St. Podrzycki, T. Szubski, P. Heyman, J.

Jałowiecki, J. Podczaski, M. Chlewicki, W. Guzek, T. Gallus, M. Buki i Z. Lelewski. Ze strony Rady pedagogicznej wchodzi w skład Komitetu p. prof. Anders, jako opiekun i redaktor odpowiedzialny pisma.

SKŁAD KOMITETU ADMINISTRACYJNEGO. Komitet administracyjny składa się z przewodniczącego i z trzech członków. Przewodniczącym jest obecnie kol. J. Jałowiecki, członkami zaś są kol.: B. Kazimierowicz, Wł. Bretsznajder i Z. Lelewski. Administracja składa sprawozdanie ze swej działalności redaktorowi naczelnemu i zarządowi „Bratniej Pomocy".

PORANEK KU CZCI Św. STANISŁAWA KOSTKI. Dnia 15-go listopada r. b. odbył się w naszym zakładzie uroczysty poranek ku czci św. Stanisława Kostki. Przemówienie okolicznościowe wygłosił kol. E. Strembski, podnosząc szczególniej znaczenie wychowawcze św. Stanisława dla młodzieży. Kol. W. Guzek deklamował odę czwartą Sarbiewskiego, kol. Dąbrowski — wiersz p. t.: „Chrystus i dzieci" Konopnickiej, a kol. A. Dąbrowski — „Hymn do Boga". Na część artystyczną programu złożyły się: występ chóru i produkcje muzyczne kol.: F. Tomczaka, K. Gallusa i Wysockiego.

UROCZYSTY PORANEK LISTOPADOWY. Dnia 29-go listopada r. b. odbył się w naszem gimnazjum uroczysty poranek w celu uczczenia rocznicy powstania listopadowego. Referat miał kol. E. Strembski, który skreślił genezę i wybuch powstania, oraz zaznaczył jego wartość dla narodu. Deklamacje wygłosili kol.: K. Gallus („Chłopicki" Bugusławskiego), Łojko („Ojczyzna moja") i E. Szymański („Męczennik" Górczyńskiego). Na część artystyczną programu złożyły się produkcje chóru, który wykonał następujące pieśni: „Boże coś Polskę", „Tysiąc walecznych", „Hej tam w karczmie za stołem" i „Ma ojczyzno", oraz występy muzyczne kol.: F. Tomczaka, K. Gallusa i Wysockiego (Intermezzo simfonico z opery „Cavaleria Rusticana" P. Mascagni, „Romans Nr. 1" Szefera i „Viston" Prizowskiego).

ŚWIETLICA. Powstała u nas świetlica uczniowska, czynna trzy razy tygodniowo: we wtorki, czwartki i soboty. od godz. 5-ej do 7-ej pp.

Podziękowanie.

Zarząd „Bratniej Pomocy" składa serdeczne podziękowanie p. dr. Umińskiemu za ofiarę w sumie 30 zł. na cele stowarzyszenia, oraz p. prof. Jochmanowi za ofiarowanie trzech gier towarzyskich do świetlicy.

Odpowiedzi od redakcji

KOL. M. B. Z artykułu nie skorzystamy.

AUTOROWI „ISTNIENIA". Z artykułu nie możemy skorzystać. Radzimy jednak nie ustawać w pracy.

AUTOROWI „W NOC WIGILIJNĄ". Treść jest niewspółmierna z tematem; nie pomieścimy.

WIDZOWI. Radzimy postarać się, ażeby i w Łęczycy powstało jakieś pismo szkolne.

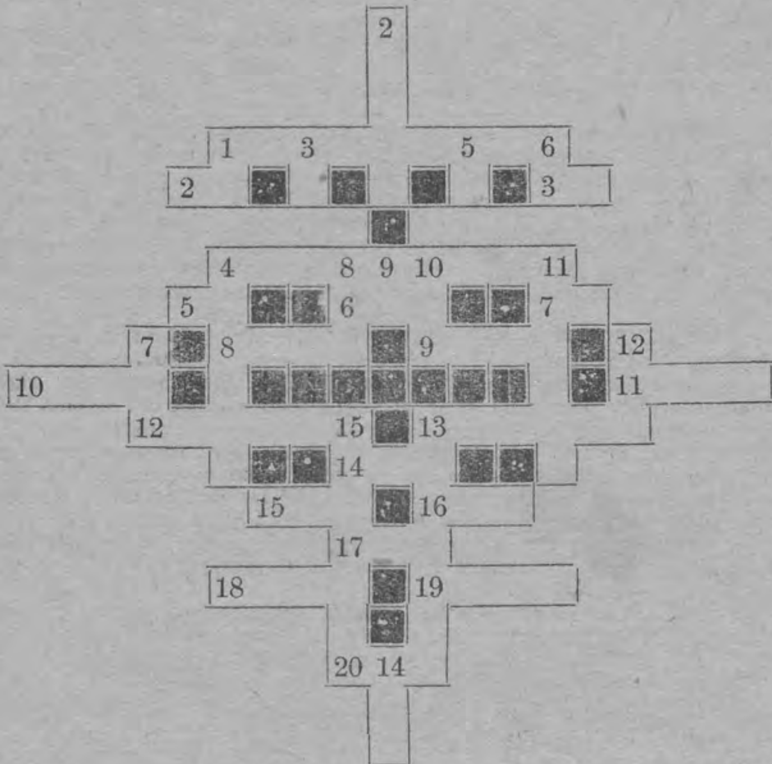
KOL. A. N. Z wierszy nie skorzystamy. Może następne będą lepsze.

AUTOROWI „WIOSNY". Wiersz nie na czasie.

LOL. SZARADZISTOM. Żadnych szarad pomieseczać nie możemy bez równoczesnego otrzymania rozwiązania.

ROZRYWKI.

Zadanie krzyżowe.



Wyrazy, czytane poziomo: 1. Pseudonim poety polskiego. 2. Zaimek osobowy w III przypadku. 3. Zaimek osobowy. 4. Powieść Józefa Korzeniowskiego. 5. Nuta. 6. Kanton szwajcarski. 7. „a" po łacinie. 8. „Trzcina" po niemiecku. 9. Mieszkaniec Afryki. 10. Stan w Ameryce Północnej. 11. Góry w Grecji. 12. Miasto na Łotwie, 13. Miasto w Polsce. 14. Rzeka w Rosji. 15. Roślina. 16. Poeta polski. 17. Część twarzy. 18. Zwierzątko owadożerne. 19. Zwierzę przeżuwające. 20. Wulkan na Filipinach.

Wyrazy, czytane pionowo: 1. Nuta. 2. Bohater grecki, 3. Bóg egipski. 5. Nuta. 6. Wykrzyknik. 7. Ptak. 4. Kraj europejski. 8. Ptak domowy. 9. Starożytne miasto w Mezopotamji. 10. Ryba. 11. Miasto we Włoszech. 12. Imię męskie. 13. Miasto na Pomorzu. 14. Materjał do uszczelniania. 15. Wyspa na oceanie Indyjskim.

St. Szymański. Kl. IV.

Wydawca: Zarząd Bratniej Pomocy w osobie prof. URBANA.
Redaktor odpowiedzialny prof. ANDERS.

Komitet redakcyjny w osobie prof. ANDERSA.

Adres Redakcji: Kutno, Gimnazjum Państwowe im. H. Dąbrowskiego.

Druk J. Celkowskiego w Kutnie.

Dodatek do Przebojem.

KUTNO NAD OCHNIĄ, Dnia 15 Grudnia 1925 roku.

KOMUNIKAT.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, w dążeniu do zasilenia przemysłu włókienniczego odpowiednio fachowo wykwalifikowanymi pracownikami, posiadającymi dostateczne wiadomości teoretyczne dla prowadzenia produkcji we współczesnych fabrykach włókienniczych na zasadach racjonalnej organizacji pracy, pragnie, aby Państwowa Szkoła Włókiennicza w Łodzi wykształciła możliwie jaknajwięcej tych pracowników. W tym celu, ponieważ Szkoła posiada jeszcze wolne miejsca, Ministerstwo zarządziło w bieżącym roku szkolnym dodatkowe powtórne przyjęcie kandydatów od dnia 16-go stycznia 1926 roku na kurs wstępny (przygotowawczy) i pierwszy. Na kurs wstępny będą przyjęci bez egzaminów kandydaci, którzy ukończyli 7-klasowe szkoły powszechne lub 3 klasy szkół średnich ogólnokształcących państwowych, lub przez Państwo uznanych. Na k u r s p i e r w s z y — wydziałów: przędzalniczego, tkackiego, farbiarskiego i ruchu fabrycznego (mechanicznego) — będą przyjęci, również bez egzaminu wstępnego, kandydaci, którzy ukończyli pięć lub sześć klas szkół średnich ogólnokształcących państwowych lub przez Państwo uznanych, Zapisy trwają do 14-go stycznia 1926 r, Informacji udziela Kancelarja Szkoły, Łódź, ul. Pańska Nr. 115.

Państwowa Szkoła Włókiennicza w Łodzi kształci pracowników (t. zw. majstrów i techników) dla przemysłu włókienniczego, a mianowicie dla: przędzalnictwa, tkactwa, farbiarstwa i wykończalnictwa oraz dla ruchu fabrycznego (nadzór i naprawa motorów, transmisji i maszyn).

Szkoła jest bardzo dobrze uposażona, posiada własną przędzalnię mechaniczną, tkalnię mechaniczną i ręczną, farbiarnię i warsztaty mechaniczne dla obróbki metali, oraz laboratorja chemiczne, farbiarskie, elektrotechniczne i fizyczne. Te urządzenia dają możność praktycznego kształcenia.

Jest pożądanem, aby z zarządzeń wyżej wymienionych skorzystali rodzice, którzy pragną synom swym zapewnić wykształcenie praktyczne, dając po ukończeniu szkoły zdatność do pracy zawodowej.

Jeden ze środków uzdrawienia przemysłu włókienniczego.

Niedomaganie przemysłu włókienniczego jaskrawo ujawniające się w zmniejszaniu dni pracy w fabrykach włókienniczych, w kompletnem zawieszaniu pracy, a nawet w przenoszeniu tych fabryk do innych Państw w złudnem przypuszczeniu, że na innym gruncie, będzie lepiej— jest nietylko skutkiem ogólnego kryzysu gospodarczego lecz również skutkiem braków w organizacji tego przemysłu.

Przemysł włókienniczy, znajdujący się obecnie w trudniejszych niewątpliwie niż przed wojną warunkach, nie wykazuje tężyzny ani w rozszerzeniu zbytu na rynku wewnętrznym, ani w walce z konkurencją państw obcych tak na terenie wewnętrznym, jak i na rynkach zagranicznych. Na taki stan rzeczy składają się brak taniego kredytu, mała wydajność robotnika z powodu najkrótszego na świecie tygodniowego czasu pracy, ale również poważne braki w organizacji przemysłu, które tę wydajność jeszsze pomniejszają. Aby złemu zaradzić należy poza uzdrowieniem warunków kredytowych i ustaw o pracy usunąć braki w organizacji i zwiększyć sprawność warszatów wytwórczych.

Zwiększenie sprawności nie wymaga specjalnie wielkich środków.

Liczne badania dokonane zarówno w fabrykach krajów wysoce uprzemysłowionych, jak i w niektórych polskich zakładach przemysłowych wykazały możliwość znacznego obniżenia kosztów produkcji, a co za tem idzie osiągnięcia zdolności konkurencyjnych — na rynkach zewnętrznych — bez wielkich nakładów na nowe urządzenia

fabryczne, jedynie tylko w drodze największego i właściwego wykorzystania istniejących urządzeń fabrycznych i zharmonizowania ich pracy, oraz w szczególności przez zorganizowanie pracy ludzkiej tak, aby uniknięte były niepotrzebne czynności i przerwy, i aby każdy robotnik mógł rozwinąć jaknajwiększą wydajność.

Nasuwa się pytanie, kto mógłby przeprowadzić tak niezbędną reorganizację ludzi i maszyn w przemyśle włókienniczym.

Niewątplwie praca taka wymaga licznych zastępów techników, mających pewne przygotowanie teoretyczne i gruntowną znajomość fachu i nie może być wykonana przez majstrów praktyków — bez podstaw naukowych — z natury rzeczy konserwatystów z trudem tylko i niechętnie podążających za postępem.

Polska — na szczęście posiada uczelnię położoną w centrum przemysłu włókienniczego, która powołana jest do kształcenia techników włókienniczych. Państwowa Szkoła Włókiennicza w Łodzi — jest tą uczelnią.

Skarb Państwa nie szczędził środków w dążeniu do postawienia tej Szkoły na odpowiednim poziomie.

Fabryki szkolne, a mianowicie: przędzalnia, tkalnia, farbiarnia i wykończalnia corocznie są wzbogacane w nowe urządzenia i instalacje.

Pracownia chemiczna, farbiarska, fizyczna i elektrotechniczna są na wysokości swych zadań!

Warsztaty mechaniczne dla obróbki metali reorganizują się na nowoczesnych zasadach.

Szereg fachowców — nauczycieli i instruktorów z długoletnią praktyką fabryczną stanowią gwarancję solidnego fachowego nauczania młodzieży.

Społeczeństwo, któremu przecież leży na sercu rozwój przemysłu rodzinnego, winno zwrócić uwagę na Państwową Szkołę Włókienniczą w Łodzi, otoczyć ją troskliwą opieką i zachęcić młodzież do wstępowania w jej progi — w przeświadczeniu, że młodzież przez zdobycie w tej uczelni wiedzy zawodowej zapewni byt sobie i rodzinie, a zarazem dołoży niejedną cegiełkę w budowie rodzinnego przemysłu włókienniczego.

Szkoła posiada wydziały: przędzalniczy, tkacki, farbiarski i wykończalniczy, oraz wydział ruchu fabrycznego (mechaniczny) i jest powołana do kształcenia fachowców w najrozmaitszych dziedzinach przemysłu włókienniczego.

Pragnąc wykorzystać tę uczelnię jaknajszerzej dla przemysłu włókienniczego, Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego zarządziło w obecnym roku szkolnym dodatkowe przyjęcie kandydatów na kurs wstępny i pierwszy. Na kurs wstępny mogą być przyjęci bez egzaminu kandydaci, którzy ukończyli 7 klas szkoły powszechnej lub 3 klasy szkoły średniej ogólnokształcącej; na kurs zaś pierwszy bez egzaminu kandydaci, którzy ukończyli 5 lub 6 klas szkoły średniej ogólnokształcącej. Początek nauki dla nowoprzyjętych dnia 16 stycznia. Zapisy i informacje w kancelarji Szkoły do dnia 14 stycznia 1926 r.

Druk J. Celkowskiego w Kutnie.